

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

14)

W oszołomieniu ducha pochwylił Saint Régeant i pojął przedewszystkiem wyrazy: Aresztują na wsze strony. Musiał więc myśleć naprzód o schronieniu. Poszedł, jak postanowił, do magazynu Lerebourg'a. Zbliżała się dziewiąta. Zapukał do drzwi od podwórza. Na zapytanie odźwiernego: do kogo? Odpowiedział: do obywatela Lerebourg'a. Mimo ciemności poznał go odźwierny i odezwał się:

— A, to obywatel Leclerc! — Proszę wejść. Pan wyszedł dowiedzieć się, co słychać na mieście, lecz obywatelka Lerebourg jest w domu... Czy wiecie, co się właśnie stało?

— I owszem. Ktoś chciał zabić pierwszego konsula.

— A to zbójce! Nikt inny, jak teroryści! Przepędzić ich należy!

Saint Régeant był już na schodach, wiodących do prywatnego mieszkania kupca. Zadzwoił do drzwi. Otworzyły się natychmiast i w słabym świetle przedpokoju zjawiała się Emilia. Westchnęła głęboką, ręce ku niebu wzniosła, jakby mu dzięki składała. On zaś, bliski omdlenia, na krzesło opadł. Emilia zamknęła drzwi, ujęła go w ramiona i szybko mówić poczęła:

— Sama tu jestem. Męża oddaliłam, pod pozorem ciekawości, by zasięgnąć języka. Tajemna jakaś nadzieja mówiła mi, że cię ujrzę. Boże mój, to okropne, cały jesteś we krwi. Coś ty, nieszczęsny, uczynił? — Krzyk ten, zgiełk, wszystkie te krzyki! ...ty to sprawiłeś... Sam omal nie poległeś... Tu zostać nie możesz... Pójdź na drugie piętro. Niema tam nikogo... Chłopiec sklepowy wziął urlop do jutra. Nie patrz tak na mnie... Myślałby kto, że lada chwila skończysz.

Saint Régeant tracił przytomność. Cuciła go troskliwie i pieczołotliwie zarazem. Podtrzymywała go z całej siły.

— Pierwsza rzecz, dostać się do pokoju, gdzie się położysz. Tutaj nikt cię szukać nie będzie... Przez noc wrócisz do sił... Jutro omówimy, co będzie dalej... Jakaż to radość, najdroższy, że uniknąłeś niebezpieczeństwa!... Chodźmy prędzej. Lada chwila mąż powróci... Powinien zastać cię już ulokowanego.

Łagodnie, ostrożnie, zwolna i bez szelestu prowadziła go na pięterko, gdzie mógł być bezpieczny.

XII.

Zatrzymawszy się u wejścia do opery, pierwszy konsul wszedł do przedsionka i ani okiem nawet na powóz nie rzucił. Zajął swą łóżę w towarzystwie Lannes i Bessières. Na korytarzach ani jednej osoby, oratorium już się rozpoczęło. Na scenie byli przedstawiciele ról głównych, Garat i pani Barbier Valenne. Bonaparte zatrzymał się w salonie za łóżą i z oczyma utkwionemi w obu generałów rzucił pierwsze słowa, dotyczące minionego wypadku:

— Ci śmiałkowicie chcieli wysadzić mię w powietrze. — Potem dodał z wspaniałym spokojem:

— Bessières, proszę Was, przynieście mi libretto.

Jednocześnie weszła do łóży Józefina, blada, z plamami krwi na szatach, za nią Hortensya, odłamkiem szkła lekko w twarz skaleczona, a Karolina Murat bez szwanku. Józefina do męża przypadła i chwyciła go za ramię:

— Zyjeś! Nic ci się nie stało! To cud prawdziwy. Widzieliśmy powóz twój w płomieniach. A my, o dwadzieścia kroków za tobą, mamy wszystkie szyby karety wybite.

— Bardzo się przelekałaś, moja droga.

— O ciebie tylko, kochanie. — Hortensya krzyczała z bólu. Miała bowiem przecięty policzek. Pani Murat dzielnością dorównuje mężowi... Zresztą zapewnił nas pułkownik Rapp, że o ile nie trafił pierwszy pocisk wybuchu, nic już nie grozi.

— To sprawa tych nikczemnych terorystów — gniewnie powtarzał Bonaparte.

Tymczasem nagle poruszenie przebiegło widownie, odezwały się szept. Udzielano sobie przyniesionej z miasta wiadomości o zamachu i widzowie niepomniernie chciwiej chwytały nowinę dnia, niż akcję dramatyczną, rozgrywającą się na scenie, pomimo nawet ukazania się na scenie słynnego Ga-

rat'a, bożyszczu bywalców teatralnych. Bonaparte wymiarkował nastrój ogółu, a w tejsze chwili niby uosobienie ogólnego poruszenia, stanął we drzwiach łóży Bessières z programem w rękę i przemówił:

— Generale, rozeszła się pogłoska, że jesteście raniony. Trzeba pokazać się widzowi.

Konsul kilka kroków postąpił, wysunął się na przód łóży. Na ciemnym tle ściany, w obramieniu aksamitnej draperyi, ukazała się jego wspaniała, monarsza głowa, obecnie bardzo blada.

Od parteru, aż do sklepień sali podniósł się potężny okrzyk. Co tylko było, powstało z wołaniem: Niech żyje Bonaparte! Kobiety oklaskiwały go. Muzyka umilkła. Dla tego tysiąca paryżan, reprezentujących kraj cały, nie istniało chwilowo nic, poza cudownem ocaleniem tego opatrnościowego człowieka, na którym skupiły się wszystkie nadzieje Francji. Konsul uśmiechnął się, skłonił się głową, podziękował ruchem ręki i zasiadł. Obok niego zajęła miejsce Józefina, Hortensya i Karolina. Przedstawienie odbywało się w dalszym ciągu. Nie przykuło jednak niczyjej uwagi, nie rozbudziło zajęcia. Garat grał swą rolę niezwykle słabo, pani Barbier z widocznym roztargnieniem. Oboje odczuwali doskonale, że nikt ich nie słucha. Pierwszy akt zakończono oklaskami, rzucanemi jedynie z przyzwyczajenia, bez zapалу. Skoro tylko kurtyna zapadła, ruch niesłyszalnie ożywiony zawrzał na korytarzach, gdzie ludzie zbili się w grupy. Na przedstawieniu był licznie reprezentowany świat oficjalny. Real, Thibaudeau, Lebrun, rzucili się do łóży konsularnej. Cambaceres ze swego proscenium przewiercał wprost wzrokiem biednego Dubois, a biedny prefekt policyi trapił się ogromnie przewidywaniem, że epilog zajęcia będzie dla niego najsmutniejszy. Brakowało natomiast Fouché'go! Real zwrócił na to uwagę Bonapartego, chytrze a zarazem zgryźliwie.

— Minister policyi był prawdopodobnie tak daleki od przypuszczenia tego co zaszło, że śpi w tej chwili snem sprawiedliwego...

Pierwszy konsul udał, że słów tych nie słyszy. Lecz blada twarz zszarzała zupełnie, zagryzione gwałtownie wargi skryły się całe. W samą porę nadszedł Cambaceres, wiodąc za sobą nieszczęsnego Dubois. Nieborak kurczył się, jak mógł, by ująć oka władcy.

— Widzicie, Cambaceres — odezwał się Bonaparte — niewiele brakło, a bylibyście pierwszym konsulem.

— W twojej, generale, osobie, doznała Francja dowodu niezwykłej, a cudownej opieki Opatrzności.

Mimo namaszczenia, z jakim słowa te były wyrzeczone, odtwarzały one trafnie współczesną myśl wszystkich obecnych, przyjęto je też z uznaniem. Józefina, złożyła ręce i wyrzekła śmiało:

— Dla nas Bóg na cud zezwolił.

Działo się to w towarzystwie kilku Jakóbinów, którzy głosowali za śmiercią króla i mnóstwo księży wysłali na gilotynę. Ani jeden nie sarknął. Jeden tylko Lannes mruknął ze swego kąta: „Chciałbym wiedzieć, co to ma wspólnego z Bogiem”. Za to Bessières, gładszy dyplomata, tracił kolegę łokciem, by zamilkł. Cambaceres znów rzecz podjął:

— Generale, czy zostaniecie do końca przedstawienia?

— Nie, wracam zaraz do Tuileryi. Was, Cambaceres, proszę z sobą. Poślijcie po obywatela Fouché, ty, Józefino, zostań, jeżeli masz ochotę. Zostawie ci Bessières'a i Rappa.

— Nie! Słuchanie muzyki nie sprawiłoby mi obecnie żadnej przyjemności. Co więcej, Hortensyi trzeba koniecznie opatrzyć ranę. Ja sama na widok krwi na mej sukni, wstrętu stłumić nie mogę. I nie chcę rozstawać się z tobą.

— A zatem zabieramy się do odwrotu.

Sam przeszedł korytarze teatru, zostawiając za sobą rodzinę, generałów, ministrów, urzędników. Na jego drodze odstawiały się wszystkie głowy, a z daleka już obsypywano go oklaskami. Kroczył poważnie, spokojnie, skromnie, w zwykłym mundurze, niemal zupełnie bez ozdoby, co stanowiło bardzo wyraźny kontrast z świetnymi uniformami całej świty. Uśmiechem obdarzył jedynie żołnierza na warcie, który przed nim sprezentował broń z wyrazem szczerzej, prostej radości. Za to po powrocie do Tuileryi nastąpił wybuch. Tu już nie uważał za potrzebne krępować się i mierzyl gwałtownymi krokami salę parterową, z tą gwałtowną potrzebą ruchu, która występowała u niego przy każdym silniejszym wzruszeniu.

— Dam im straszną naukę! — krzyczał. — Dokoła mnie musi panować pokój, nie dopuszczę, by tysiące ludzi, którzy mię chcą ujrzeć na ulicach miasta, ginęło niewinnie. Nie o mnie tu chodzi. Biorąc na siebie władzę, wziąłem z nią wszystkie niebezpie-

czeństwa, na jakie ona naraża. Wiem bardzo dobrze, iż nienawidzą mię zarówno rewolucyoniści, jak i bandyci. Jednym zawadam, bo wymagam ładu i spokoju. Drudzy mają mi za złe, że nie ustępuję miejsca ich królowi. Lecz ja zdepczę, zgniotę wszystkich, tak czarnych, jak i białych. Kara, jaką im zgotuję, będzie tak odstraszającym przykładem, że nie odważą się na nowe próby!

Stanął, by dech złapać. W salonie zaciężyło ponure milczenie. Nikt nie śmiał odpowiedzieć, choć były tam pierwsze osobistości państwa. Napoleon podjął spacer po pokoju i głos znów zabrał.

— Czwarty to raz w ciągu roku nastają na me życie. Będzie to zarazem ostatni. Przekonany jestem, że teroryści do tego przyłożyli rękę. Nie dawniej, jak tymi dniami, mówiłem o tem Fouché'mu. Nie wierzył mi, lecz ma swe racje po tem. Winnymi są jego dawni towarzysze, z niejednym do dziś dnia żyje w przyjaźni.

Drzwi u wejścia otworzyły się. Ogólna cisza. Nawet Bonaparte stanął i umilkł. W pokoju zjawiał się ten, na kogo wydano tutaj wyrok potępiający. Ziękany, blady, ponuro patrząc przed siebie, zbliżał się Fouché do władcy. W odległości dziesięciu kroków zgiął się w niskim ukłonie i czekał pierwszego słowa. Bonaparte oczy przymknął, jak gdyby w wewnętrznym skupieniu, stał chwilę nieruchomo, potem poruszył się gwałtownie, twarz nabrała życia, chwycił Fouché go za rękę i pociągnął do najdalszego kąta, jak gdyby nie chciał, by ktokolwiek inny słyszał jego słowa.

— Ot co! Widzicie, jak słuszne były me obawy! Moje wiadomości więcej warte, niż wasze! Bez mała dopuściłeś do pozbawienia mię życia. Możesz sobie powinszować, że ocalałem szczęśliwym trafem. Gdybym był zginął, lud rozniósłby cię w drobne kawałki.

Fouché przybrał minę, która doprowadziła Bonapartego do ostateczności. Zostawił ministra w kącie i podjął marsz po sali.

— Twoja policya, datująca się z dawnych czasów, jest głupia. Trzymacie się wiecznie systemu Lenoir'a. Powołam w najbliższym czasie na twe miejsce pierwszego lepszego żandarma. Zobaczysz, jaki wówczas nastanie porządek. Po dziesięcioletnich przejściach kraj potrzebuje koniecznie pokoju. Spodziewa się go odemnie, a ja nie zaniecham mego obowiązku, zabezpieczę go od dalszych wstrząszeń. Gnębić będę bez litości wszystkich intrygantów, wszystkich agitatorów. Nie pozwolę frymarchyć bezpieczeństwem ogółu i pociągnę do odpowiedzialności, czy to jako nieudolnych, czy to jako zdrajców, tych wszystkich, którzy nie umieją nic przewidzieć, lub nie chcą złemu zapobiedz!

Słowa te były dla Fouché'go wyrokiem nielaski i poniżenia; ich skutkiem było ogólne odsunięcie się od ministra. On zaś, niewzruszony, zdawał się nie słyszeć grózb pierwszego konsula. Oparł się o komin i czekał, aż burza minie. Łatwo było już wy-czuć, że słowa Bonapartego są więcej rozważne, że gniew uspakaja się powoli. Znów przemówił:

— Mnie w pole wyprowadzić nie łatwo. — Do tego nie przyłożyli ręki ni szuwanie, ni emigranci, ni ex szlachta, lub ex księża. Znam sprawców zamachu i będę ich miał w rękę.

Mówiąc to, patrzył pilnie w Fouché'go. Były członek Konwentu przygryzł wargi i głowę zaprzeczył. Bonaparte rzucił się na niego, zupełnie nie panując nad sobą, w oczach zapaliły się błyski:

— Przeczysz! Wiesz lepiej odemnie! Mówże!

Sami byli na uboczu, w odosobnionym kącie obszernej komnaty, a choć wystawieni na obłąkanie ciekawych spojrzeń, niedostępni dla ciekawych uszu. Fouché zdecydował się na odpowiedź:

— Wiem, kto działał. Jeszcze tego tygodnia będę miał sprawców w mym rękę. Gdyby nie przypadek, który każdego trafić może, byliby ujęci przed wykonaniem niegodziwego zamysłu...

— Zawsze upierasz się przy rojalistach z pod znaku Jerzego?

— Dalszy bieg wypadków potwierdzi me zdanie.

— Strzeż się, Fouché, byś nie zadrwił ze mnie! Za to pójdziesz, jak inni, do Sinnamari (kolonia karna).

— O siebie, generale, jestem spokojny. Jestem najzupełniej pewien swego. Niemniej nie omieszkam wywieźć się o osoby, na które tu rzacono podejrzenie. Jest tu garstka niedobitków obozu rewolucyjnego, stale wzburzona i niebezpieczna dla nowego porządku.

— Widzisz więc sam! Jakto, i ci ludzie mogą zbierać się bezkarnie, naradzać?... Ich punktem zbornym są loże masonskie... Wiesz dobrze o tem! Wszyscy pójda na zesłanie. Jutro wygotuje Rada stanu odnośny dekret... Nie postawię nowych szafotów, ale zarazę tę muszę wyplenić.